Poczta opłacona zgóry

Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOSCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. prefekta Gloeha*—z Warszawy, *ks. G. Manitiusa* z Poznania, oraz członków Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: *p. p. mec. H. Eberhardta, mec. A. Burschego prof. gim. im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta.* Pod naczelną redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, *ks. radcy A. Lotha.*

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową: 3 zł. kwartalnie

Pojedyńczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI

WARSZAWA ulica Kredytowa Nr. 4.

Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10
w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 63
i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Prutka 27.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekscie 20 groszy, w tekscie 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok IX. WARSZAWA, dnia 1 stycznia 1928 roku. Nr. 1.

NOWY ROK

Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam i na wieki.
List do Hebrajczyków rozdz. 13 w. 8.

Chwile przełomu między starym a nowym rokiem zmuszają do zastanowienia się nad przeszłością i skłaniają do zajrzenia w przepastne oczy przyszłości. Człowiek często ucieka przed koniecznością zdania sobie sprawy z lat ubiegłych, a wie, że z księgi swych losów przyszłych może wyczytać płynnie swe własne życzenia; dlatego zadowala się w większości wypadków stwierdzeniem starej prawdy: „wszystko mija", aby po złożeniu hołdu temu wyrazowi mądrości poświęcić się całkowicie radościom chwili bieżącej lub obowiązkom dnia.

Twierdzenie: „wszystko mija" jest traktowane jako pewnik, dlatego nieuchronnie prowadzi do uznawania wszystkiego za względne, zależne od pewnego czasu i miejsca. Co wczoraj wydawało się niewzruszonem jak opoka skalista, runęło w przepaść, rzekome zaś nauczania stały się rzeczywistością. Przed kilkunastu zaledwie laty zmuszone były niektóre jednostki zajmujące obecnie przodujące stanowiska, jeść gorzki chleb tułacza lub ukrywać się w podziemiach nielegalności oficjalnej, któż wtedy mógł przypuszczać, że tak rychło odmienią się koleje losu?

Pokolenie, które było i jest świadkiem przemian, w daleką przyszłość sięgających, ulega potędze relatywizmu, opierając się na doświadczeniach, nie ulegających wątpliwości, wnioskuje, że czas pożera własne dzieci.

Jednak potężna do niedawna fala względności zaczyna się cofać, z zalanego przez nią życia wyłaniają się zarysy skał, które oparły się jej niweczącej sile i swem sumieniem stwierdzają, że istnieje coś nieprzenikającego, coś wiecznego, coś ponadczasowego. Ku tym wartościom niezmiennym, zwracają się tęskne oczy ludzkości, a dusze, syte nędznych okresu życia, łakną istotnego pokarmu.

Wyraz „prawda" nie stracił nic na swej mocy czarodziejskiej, chociaż tłumy obecnie wołają, że jedynym celem prawdy jest zdobywanie lub pomnażanie materjalnych środków życia. Bynajmniej. Ofiarnicy na służbie prawdy poświęcają dla niej mienie, szczęście i życie, kierowani jedynem pragnieniem — uchylić rąbek tej zasłony tajemniczej, jaką Bóg zawiesił nad zagadką bytu.

Kto się przyjrzał losowi tych artystów, którzy, wpatrzeni w swą gwiazdę przewodnią, sztuce poświęcili swe życie, ten zmuszony będzie uznać potęgę piękna; ono rozpala ogień czystej, ofiarnej miłości w duszy artysty i bucha płomieniem, ogarniającym całe jego życie.

Z wyżyn służby dla prawdy i piękna zstąpmy do nizin zwykłego, codziennego trudu. Czy wolno twierdzić, że w tych sferach, gdzie troska o chleb codzienny często zabija porywy ducha, wartości ponadczasowe zachowały swą moc przyciągającą i zniewalają człowieka utrudzonego do służenia im?

Słusznie zaznaczano, że świat rozbrzmiewa chwałą nielicznych bohaterów, którzy stali na świeczniku, a zapomina o legjonach tych bohaterów bezimiennych, którzy w ciężkiej codziennej walce, nie sprzeniewierzyli się zasadzie moralności. Ich dusze były nastrojone na ton tego, co jest moralnie dobre i wzniosłe, a wola silna nie pozwalała zboczyć z drogi obowiązku.

Skąd prawda, piękno i dobro, posiadające tę moc, że wznoszą się do wieczności, chociaż znajdują swe ucieleśnienie w świecie zmienności?

Obok nich istnieje bowiem jeszcze jedna wartość, której istota na tem polega, że posiąść chce świat niezmienny, wieczny. Na skrzydłach „Świętego" unoszą się prawda, piękno i dobro ku niebiosom, skąd przyświecają ludzkości w pochodzie mozolnym ku Królestwu Bożemu.

Wcieleniem tych ponadczasowych, przeto nieprzemijających wartości jest Jezus Chrystus. Wprawdzie i On złożył daninę czasowi był bowiem dziecięciem swego wieku i swego narodu, jako syn człowieczy, przez Jezusa jednak przemawia Bóg, stojący przed czasem, swą prawdą, pięknem, dobrocią i świętością, dlatego jest On Synem Bożym.

Na przełęczy między przeszłością i przyszłością staje Jego postać świetlana, i wpatrzeni w nią, wyznajemy u progu Nowego Roku: Jezus Chrystus wczoraj i dziś ten sam i na wieki.

KAROL SERINI.

Wszystkim Szanownym i Miłym Czytelniczkom i Czytelnikom życzenia błogosławieństwa Bożego w Nowym Roku zasyła

Redakcja i Administracja „Głosu Ewangelickiego"

Walka z demagogją przedwyborczą

Przed niejakim czasem dr. Karol Notzel domagał się w miesięczniku niemieckim „Zeitwende", aby ministerstwa kultu w Niemczech zaprowadziły w szkołach powszechnych i średnich nowy obowiązkowy przedmiot nauczania, pod nazwą „antidemagogja". A oto motywy projektu:

Agitacja przedwyborcza posiłkuje się rozmaitemi środkami, z których najwięcej stosowane są: wiec przedwyborczy, nazywany niekiedy zebraniem, plakat reklamowy, agitacyjny artykuł dziennikarski, przybrany od czasu do czasu w szatę odezwy obywatelskiej. Gdyby kto chciał na podstawie danych tego rodzaju odtworzyć stan kulturalny społeczeństwa, otrzymałby obraz pełen czarnych plam. Bo jak postępuje agitator przedwyborczy ze swymi słuchaczami? Poczyna on sobie tak, jak gdyby każdego wyborcę miał za człowieka we własnem mniemaniu pokrzywdzonego, zewsząd oszukanego, a który sprawiedliwość i cudowny lek na wszystkie bolączki społeczne znajdzie tylko u niego, t. j. danego agitatora, będącego jedynym przyjacielem i zbawcą uciemiężonych. Na uczuciach niskich, ujemnych, spoczywających na dnie duszy ludzkiej, zagrać nie jest trudno. To też te właśnie uczucia pragnie poruszyć agitator, i czyni to, budząc niechęć do swego przeciwnika politycznego, potęgując niezadowolenie u wyborcy, podniecając pragnienie zemsty, grając umiejętnie na materjalistycznie ujętym egoizmie klasowym, stanowym czy osobistym. Obietnice, któremi hojnie sypie agitator, nie przedstawiają wiele wartości realizacji, w godzinie agitacji zaś odgrywają rolę przynęty dla naiwnych i łatwowiernych, którzy jednak jeszcze łatwiej dają się złapać na szkalowanie przeciwników agitatora, na insynuowanie im motywów niskich we wszelkich poczynaniach, bagatelizowanie ich zasług istotnych. Agitator uważa za rzecz całkiem dopuszczalną, aby pomniejszać cnoty przeciwnika lub odmawiać mu ich zupełnie, obrzucając go błotem, podając w wątpliwość jego zalety. Dlatego też agitacja przedwyborcza jest siewbą nienawiści, kłamstwa i zemsty.

Demagogiczna agitacja przedwyborcza nie krępuje się elementarnemi skrupułami moralności. Domaga się ona wolności i uznania dla haseł, głoszonych przez się, zasady przeciwników natomiast przedstawia jako rzecz bezwartościową, nikczemną, jako podłość przewrotną albo jako tchórzostwo. Bez końca powtarza się przy agitacji przedwyborczej wybieg, polegający na tem, że odmienny sposób zapatrywania się na jakąkolwiek sprawę przedstawia się, jako wynik niskiego sposobu myślenia. Identyfikuje się zamiary początkowe i wyniki końcowe. Wyliczając motywy przeciwnika, pokrywa się milczeniem najważniejszy. Podsuwanie mu tego, czego wcale nie powiedział, jest na porządku dziennym.

Agitator przedwyborczy klasyfikuje ludzi na dwie kategorje. Do jednej grupy należą sami źli, od tych począwszy, którzy na wieki zaprzedali dusze swoje djabłu, którzy są bezwolnemi automatami złości. Drugą grupę stanowią ci, którzy wogóle nie mogą już grzeszyć — chyba, że wyłamaliby się z posłuszeństwa swym wodzom.

Jeśli na wiecu, albo wśród czytelników odezw przedwyborczych znajdzie się człowiek, niezasuggestjonowany przez agitatora, niezatruty wytwarzaną przezeń atmosferą, a obejrzy się w tłumie słuchaczów lub czytelników, szukając największego głupca, to z zatrważającą regularnością dojść musi do wniosku, — jak powiada autor wzmiankowanego artykułu, — że „ten ostatni z nędzarzy duchowych stoi właśnie na trybunie dla mówców". Sprawia on wrażenie automatu politycznego, w którym musi się odkręcić do końca mechanizm zegarowy, a przy tem wszystkiem nie widzi i nie słyszy on nic, jak tylko siebie samego. „A wtedy dobry duch, który nas jeszcze nie opuścił, zachęca nas, aby stanąć cichutko opodal agitatora i podczas przerwy sztucznej, gdy „bohater zebrania nabiera tchu do nowego potężnego wypadu przeciwko „re-ak-cji!!" — szepnąć mu na ucho: „No, ale teraz przestań że już wreszcie! Dosyć się już ośmieszyłeś. Przecież masz jeszcze pretensje do posiadania godności własnej!" — Lecz tego się agitatorowi zwykle nie mówi — żałośnie wyglądałby śmiałek, któryby się na to poważył. I zawstydzeni opuszczamy lokal wiecowy, któżby bowiem chciał patrzyć dłużej na to, jak się człowiek lubuje w roli wesołka, a w dodatku sądzi, że wystrychnie na dudka swych bliźnich".

Dr. Notzel sądzi, że jest to niekonsekwencją, jeśli się wszystkim obywatelem przyznaje jednakowe prawa, a jednakże sprowadza do iluzji wykonywanie tych praw przez większość, pozbawioną możności obrony wobec agitacji demagogicznej.

Oto tło, na którem Notzel domaga się zaprowadzenia „antidemagogji" w szkołach jako przedmiotu obowiązkowego nauczania.

WALKA KOMENSKEGO Z BRAĆMI POLSKIMI

Odczyt, który wygłosił w auli Uniwersytetu Warszawsk. dnia 4. XI. 1927 r.

Dr. J. KVACZALA

Profesor Wyższej Szkoły Teologicznej w Bratisławie.

W tym samym jeszcze roku (1638) spadła, jak powszechnie wiadomo, na Socynjan katastrofa, która zaszkodziła im więcej, aniżeli wszelkie niepowodzenia w polemice literackiej: zburzeniu uległa ich siedziba w Rakowie, kościół, szkoły, książki zostały spalone. Życie ich duchowe nie upadło jednak zupełnie, lecz nie było w nich już dawnego rozpędu, ani śmiałości. Przecież jeszcze po trzech latach, gdy patrjarcha ich, Jonasz Szlichtyng, oddawał Komenskemu do szkoły w Lesznie syna swego, żalił się on na straszne skutki tego wydarzenia. Mimo to jednak ich zapał propagandowy nie był całkiem stłumiony. Wszak wówczas to Jonasz prosi Komenskego, aby przyjął i przeczytał jego pisma polemiczne przeciwko Wydziałowi Wittenberskiemu, który wystąpił był przeciwko książce socynjańskiej Schmalza. Próżno Komensky wzdragał się, Jonasz potrafił go namówić, aby przynajmniej przeczytał wstęp; traktuje on o dogmacie Trójcy, który dopiero Tertuljan wprowadził do chrześcijaństwa.

Gdy na drugi dzień Jonasz przybył w celu pożegnania się, Komensky zaś bronił wobec niego starokatolickiej nauki, która zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy dwiema historycznemi krańcowościami — Jonasz nazwał takie stanowisko wykrętem („Cavillatio"). Komensky nie tylko odparł to twierdzenie, ale niebawem w odrębnem piśmie opracował całe zagadnienie, i przesłał tę swoją pracę Jonaszowi, pozostawiając sobie wyciąg, ogłoszony drukiem dopiero po upływie lat dwudziestu. Pismo to jest podstawą teologji racjonalnej, zwłaszcza w swej części metafizycznej. Komensky posiłkował się w niej Vivesem, który nauczał oraz dowodził, że chrześcijaństwo jest zgodne z rozumem, opierając się w tej mierze na największym nauczycielu chrześcijaństwa, Augustynie. Komensky czuje się tu w swoim żywiole, gdy może wskazywać na krańcowości w świecie duchowym zarówno, jak fizycznym. „Czy to jest bez znaczenia"? zwraca się on do Jonasza—„Tak niepodobna sądzić z powodu głębokiej mądrości Bożej!" Ci trzej („Tria Illa"), którym się przypisuje cześć boską, słusznie zwani są trzema osobami. A więc — tak dalej wywodzi Komensky — nie wszczęła się ta wiara dopiero od Tertuljana, jak twierdzi Jonasz, starsza jest ona,

niż ten świat. Słowo było już od początku świata, stało się ciałem przez Ducha Świętego, aby się za nas ofiarować.

Jonasz nie odpowiedział na przesłane mu pismo Komenskego. Komensky go nie przekonał. Świadczy o tem najwymowniej ogłoszona przez Jonasza niebawem po tych odwiedzinach „Confessio fidei Christianae, edita nomine ecclesiarum, quae in Polonia Unum Deum et Filium eius unigenitum Jesum Christum et Spiritum Sanctum profitentur". Jak srogą dolę i prześladowania zgotowała Jonaszowi ta książka, nad tem nie potrzba się tu szeroko rozwodzić. Rozgoryczenie przeciwko niemu w kraju wzrastało do tego stopnia, że Jonasz na długi czas musiał się ukrywać przed ludźmi. Komensky niebawem opuścił Leszno, i po zaproszeniu do Londynu, które spełzło na niczem, wstąpił na służbę do Szwedów. W drodze powrotnej z Londynu Komensky doczekał się ze strony szlachty polskiej, śród której byli Socynjanie, zarzutu, że zamierza pracować dla Szwedów. Jeden z nich robił mu nawet wówczas propozycje, pod względem materjalnym korzystne. Wyróżniał się z pośród nich szczególnie A. Wiszowaty, jeden z przywódców socynjańskich. Żegnając się z Komenskym, pozostawił on w jego ręku pisemko, w którem nie aprobuje stanowiska Komenskiego, zajętego przezeń we wspomnianych dwuch pismach przeciw Socynjanom. Tytuł jego: „Vulgaris Theologiae hypotheses". „Bóg — tak czytamy w nim — nadał przykazania tylko co stworzonemu człowiekowi, który nie mógł ich spełnić. Kiedy je (człowiek) przekroczył, rozgniewał się na niego tak niezmiernie, że mu wyznaczył („addicere") wieczną mękę. Potem gdy (Bóg) przyszedł do siebie, i aby móc pomóc grzesznemu człowiekowi, rozgniewał się na Syna własnego, umęczył Go za cudze winy aż do śmierci w tym celu, aby kto uwierzy w skutek ten, dostąpił odpuszczenia win". Komensky wspomina, że ulotkę powyższą pokazał i innym, podziwiając wraz z nimi szatańską nienawiść do tajemnicy zbawienia.

Komensky nie poprzestał na tem. Może z powodu znanego Colloquium Toruńskiego, w każdym razie w roku, w którym się ono odbywało, począł on zbierać materjał, dotyczący Socynjanów oraz ich nauki, nie bacząc na to, że przecież w Elblągu Socynjanie go niepokoili, oraz, że poddostatkiem miał innych zajęć i obowiązków.

Pochłaniały go wówczas troski i obawy innego rodzaju, aż dopiero rok 1648 rozwiał nadzieje jego oraz jego przyjaciół, służba bowiem u Szwedów nie przyniosła mu oczekiwanych korzyści. W tym więc roku Komensky powrócił do Leszna, na razie nie zdając sobie sprawy z tego, co ma być dalej zarówno z nim jako też z Jednotą. Sprawa socynjańska straciła dlań znaczenie.

Nie minął jednak rok, a już zjawił się u Komenskego, choć i nie polski Socynjanin, Marcin Ruarus, ongi nauczyciel w Rakowie, obecnie ksiądz w pobliżu Gdańska w Straszynie. Gdy Ruar zobaczył, że ani odwiedziny ani osoba jego niezbyt zajmują Komenskego, nie trudził go więcej, jedynie pozdrowił go w drodze, na co mu Komensky nawet nie odpowiedział.

W następnym roku znowu odwiedził go jego stary znajomy, w pewnej mierze towarzysz wygnania, baron austrjacki, J. L. Wolzogen, który na wygnaniu przystał był do Socynjan. Aczkolwiek sporną jest sprawą, kiedy się to stało, jednak pewnikiem jest, że obecnie podczas drugiej swojej wizyty u Komenskego był on już przeciwnikiem nauki o Trójcy, nazywał ją bowiem błędem. Powstała przy tej sposobność mała sprzeczka, podczas której Komensky powołał się na swe pismo przeciw Scheferowi, gdzie wykazał nie tylko Socynjanom, że są oni w błędzie. Baron grzecznie się wymówił: Socynjanie nie odpowiadali mu, chcieli bowiem oszczędzić autora; lecz jeśli on sobie tego życzy, to mu odpowiedzą. Wbrew żądaniu Komenskego, aby to uczynili, odpowiedź nie nadeszła.

Jeszcze tegoż samego roku Komensky przeniósł się na Węgry. Poddostatkiem miał tam pracy i trosk innego charakteru. Po powrocie zaś jego do Leszna wybuchła niebawem wojna polsko-szwedzko-siedmiogrodzka. Ofiarą jej w równej mierze stali się Bracia Polscy i Jednota Czeska.

II.

Przywitanie Komenskiego w Amstrdamie w roku 1657 mogło mu wynagrodzić wiele strat osobistych. Miał on starać się tu o wydanie swoich prac, tymczasem nakład ich był mu zabezpieczony, i to z dwóch stron. Rzeczą zrozumiałą było, że najprzód ukazały się jego prace pedagogiczne. Żądano następnie jakiegoś króciutkiego kompendjum całej pansofji, ku wykazaniu prawdy chrześcijaństwa. Holandczyk Hugo Grotius, podobno już napisał był pracę tego rodzaju, lecz przydałaby się krótsza i stosowniejsza. Czy to w związku z tym, czy też jako dział samodzielny podjęte zostało również wydanie irenicznych prac Komenskego, rozumie się łacińskich. Zebrane więc najprzód prace, wydane w latach czterdziestych, pozostające w związku z przygotowaniami do colloquium Toruńskiego; przedewszystkiem słynne „Hypomnemata", wezwanie do ewangelików, aby uczestniczyli w Colloquium. I wówczas to stało się coś niezwykłego: przyjaciele, którzy czytali korektę, wciąż utrzymywali, że takie wyznanie przed ogółem katolickim swych własnych (ewangelików) uchybień, jakie ta praca zawiera, może być szkodliwe, to też z tego, a może i z innych jeszcze powodów, radzili, aby tej pierwszej pracy (Hypomnemata) nie drukował, lecz ograniczył się do nowego wydania pracy napisanej przeciwko kapucynowi Walerjanowi. Niepodobna jednak było już zmienić paginacji stron, kilka przytem odbitek już było w całości wydrukowanych, to też wiadomość o wymienionej pracy dostała się teraz po raz pierwszy do ogółu.

W pełnych egzemplarzach znalazły się i mniejsze prace, dotyczące wspomnianego colloquium; główna praca „Christianismus reconciliabilis" nie znalazła się między niemi, oczywiście, że druk jej odłożono na później.

2) Rozumie się, że w związku z tym wszystkiem zainteresowanie osobą Komeskego i tak nie małe wciąż wzrastało. Zgłaszali się do niego i starzy znajomi, inni znów szukali stosunków z tak powszechnie znaną postacią. Ale i dawni nieprzyjaciele, chcąc wyzyskać miłującego pokój przeciwnika, zbliżali się do niego, jako zwyczajnie z przyłbicą nie zupełnie odchyloną. Tak naprzykład zgłosił się do niego nieznany mu dotychczas lekarz, Daniel Zwicker, rodem z Gdańska, rzekomo zwolennik reformacji, podbno zajmujący się działalnością ireniczną. Właściwy cel swego przybycia do Amsterdamu Zwicker przemilczał. Przebywał on wówczas już nie w mieście rodzinnem, lecz pomiędzy braćmi morawskimi, wraz z nimi wyznając komunizm i pacyfizm. Z ich to grona został on wysłany, aby w Holandji pojednać poważnionych Menonitów. Gdy poznał się on bliżej z Komenskym, po wymianie wzajemnej myśli dotyczących głównych podstaw ireniki, Zwicker zażądał aprobaty Komenskego dla obmyślonego przez siebie i przygotowanego do opublikowania dzieła programowego. Komensky nie odmówił mu tego, czyniąc jednak pewne zastrzeżenia. Gdy zaś i dla Komenskego rzeczą było już jasną, że dał się wciągnąć w bliższe stosunki z Socynjaninem, chociaż niezupełnym, Zwicker doręczył mu list wspomnianego już nieraz znajomego Komenskego, barona Wolzogena, w tym czasie już zdecydowanego zwolennika Socynjan.

Baron Wolzogen w liście tym jeszcze raz wspomina o przyczynach, dla których Socynjanie nie odpowiedzieli jeszcze na jego pracę przeciwko Schefferowi; oczywiście, nie dla tego, iżby nie umieli na nią odpowiedzieć, Komensky należy przecież do najpowierzchowniejszych przeciwników ich. Podobno jednak mają oni inne w stosunku do Komenskego myśli i jako do męża ogarniającego szerokie widnokręgi, mają doń takie zaufanie, że wreszcie i on pozna ich rację. Oprócz tego Wolzogen w liście tym skarży się na zwolenników Jednoty, że wygnanym z Polski Socynjanom, i to wbrew zawartemu niegdyś z nimi układowi, okazują nieprzyjaźń swą.

(d. c. n.).

OSKAR BARTEL.

Z dziejów Reformacji w Polsce

Walka rel.-dogmatyczna w latach 1559 — 1562 *)

Drugi i trzeci zarzut przesuwały bezpośrednio całe zagadnienie w dziedzinę dogmatu Trójcy Św. Utrzymanie nauki kalwińskiej o pośrednictwie Chrystusa według natury boskiej i ludzkiej do Boga Ojca, byłoby możliwe jedynie wtedy, gdyby przyjąć jako przesłankę oddzielenie Syna od Ojca i podporządkowanie Syna Ojcu, czyli zgodzić się na właściwy arjanizm, albo przyjąć jego naukę o pośrednictwie Chrystusa tylko według natury ludzkiej do Trójcy Św., o której uczył Stankar, że Ojciec, Syn i Duch św. stanowią jednego prawdziwego Boga, jednej essencji, jednej woli i jednej czynności. A, że kalwiniści nie chcieli zgodzić się na jego koncepcję, stad gromy i posądzanie ich o arjanizm. Groziła tedy schizma kościołowi małopolskiemu. Zdawał sobie z niebezpieczeństwa sprawę Lizmanin i wahał się, czy nie miał pewnej słuszności Stankar, skoro kto jak kto, ale najuczeńszy mąż, Andrzej Frycz Modrzewski, zainteresował się nauką Stankara i poniekąd — jeśli mocniej nie powiedzieć — sympatyzował z rozwiązaniem przezeń dogmatu „de mediatore". Wtedy Lizmanin, uważając, że ten „Miser Judaeus"—tak nazywał Stankara — więcej szkodzi kościołowi kalwińskiemu, niż wszyscy biskupi katoliccy, dla odparcia jego nauki i uratowania dogmatu „de mediatore", rezygnuje z pewnych podstaw przyjętego dogmatu Trójcy Św. i występuje z dziwnem rozwiązaniem tego zawikłanego zagadnienia.

Mianowicie, podkreślając różnicę osób w Istocie Boskiej, przyjął on „sui generis" wyższość Ojca, przy jednoczesnem utrzymaniu homousji Syna. Było to tuż na początku września r. 1561. Przed oficjalnem wystąpieniem Lizmanina ze swoją konfesją, rozpowszechniano ją między kalwinistami, gorącą zaś apologię jej podał Lizmanin w liście do Iwana Karmińskiego z Aleksandrowic, jednego z najzacieklejszych przeciwników nauki Stankara dn. 10 IX. 1561 r., dodając, że czego nie zrozumie, wytłumaczy mu minister Jerzy Niger, pierwszy zapalony zwolennik koncepcji Lizmanina.

Lizmanin, stojąc na stanowisku „sui generis" homousji, uważa za możliwe, nawet za konieczne przyjąć, że Ojciec jest wyższy od Syna przed jego wcieleniem, tedy Chrystus może być pośrednikiem według ludzkiej i boskiej natury, wbrew temu, co mówi Stankar. Na potwierdzenie swej koncepcji powołuje się na wielu Ojców kościoła (Ignacy, Justyn, Origenes, Ireneusz, Tertuljan, Hilary, Bazyli, Grzegorz z Nazianzu, Ambroży i Erazm z Rotterdamu). Stawiany mu zarzut, że rozsiewa swą nauką arjanizmu, uważa Lizmanin za niesłuszne. Obrona jego przed zarzutem arjanizmu była poniekąd usprawiedliwiona. To nie był czysty arjanizm, który zasadniczo i stanowczo odrzuca homousję Syna i Ojca. To, co proponował Lizmanin, był swego rodzaju „subordinationismus", który uchodził za ortodoksalny w 2 i 3 stul. po narodzeniu Chrystusa, aż do wybuchu sporu arjańskiego. Lecz w zakończeniu wyznania, w którem on (Lizmanin) i wszyscy Pińczowianie otwarcie wierzą w Boga Ojca, niezrodzonego, bez początku, z Którego są nietylko wszystkie twory, lecz i boskość i dobroć Syna i Ducha Św. — można stwierdzić w pewnym stopniu arjanizm, stanowczo zaś serwetyzm, albo jego modyfikację w nauce uczniów Serweta: Gribalda, Blandraty, Gentilisa i Alciata. Zachodzi więc zasadnicze pytanie, skąd mogła powstać koncepcja Lizmanina? Wotschke twierdzi, że powstała pod wpływem konfesji Gentilisa, która była znana w Polsce przed 1 IX. 1561 r. Możliwe, ale nie konieczne, bo mógł sam Lizmanin, Dr. teol., rozczytujac się w hist. kościoła, natrafić na nią. Jeśli wierzyć Stankarowi, nauka o preeminencji Ojca nad Synem, według natury boskiej, była znana wśród działaczy reformacyjnych w Polsce już pod koniec r. 1560. Jest to bardzo prawdopodobne. Tę naukę o preeminencji rozpowszechniał Jerzy Blandrata, który mógł podsunąć tę koncepcję Lizmaninowi.

Włoch Jerzy Blandrata, lekarz z zawodu, przybył do Polski z końcem r. 1558 i osiadł w Pińczowie, mieście Mikołaja Oleśnickiego. Przybył z Genewy, skąd musiał uciekać przed Kalwinem. Tam przesiąkł nauką Serweta. Usposobiony sceptycznie, miewał swoje wątpliwości co do dogmatu Trójcy Św., więc niejednokrotnie zwracał się do Kalwina o wyjaśnienie mu pewnych zawiłych kwestyj dogmatycznych. W pytaniach, skierowanych do Kalwina, zaznaczało się jego negatywne stanowisko względem takich pojęć, jak substancja, Trójca, trójosobowość, które nie znajdują poparcia w piśmie św.

INGEBORG MARJA SICK.

Pastor z nad fjordów.

(Hojljaeldspraest).

Tłomaczenie z duńskiego.

Sursum corda.

X.

Nasz pobyt w górach dobiega do końca. Nadszedł ostatni wieczór.

Wieczorem po zachodzie słońca jest tu zawsze chłodno. A gdy tarcza ognista słońca zniknie i z wody powstaje dziwny blask srebrzysty, wstrząsa człowiekiem jakiś dreszcz przejmujacy, zimny, nawet w najbardziej upalne dni.

Ostatniego wieczoru, który tu spędzamy, po dość chłodnym dniu, temperatura spadła tak nisko, że pastor kazał w swoim pokoju rozpalić ogień w kominku.

Kari przyniosła paliwo: jodłowe gałęzie i szyszki. I wkrótce potem buchnęły wesoło ciepłe języki płomieni z otwartego kominka.

Najprzyjemniej jest nam w gabinecie Tu znajdują się wszystkie niemal jego rzeczy, które w świetle płomieni wydają się, jakby były z bajki.

Na białawych skórach reniferowych igra złoty blask. A duży obraz, wiszący nad biurkiem, wyobrażający Madonnę Murillo z Palazzo Pitti, świeci tak dziwnie, jakby ta młoda twarz w rzeczywistości była żywą.

Duży krucyfiks w rogu nad fisharmonją wisi nieoświetlony. Ale pod nim na obrazie, przedstawiającym Wieczerzę w Emaus Tiziana, — bije zorza, jak przy zachodzie słońca w ów dzień zmartwychwstania.

Obok tego—obraz Napoleona, z rozwiniętą chorągwią, idącego przez most pod Arcole. Płomienny zapał bije z jego pobladłego lica.

I nagle zdaje się nam, że ów pastor, siedzący przy kominku, jest podobny do owego obrazu, — z bujnych, czarnych włosów, z twarzy, o delikatnych rysach i powagi, z ogni, bijących z jego ciemnych oczu.

Siostra jego stoi przy stole: nakłada małe ciasteczka na talerz, i przygotowuje na uczczenie tego wieczoru grzane wino.

Nie przypuszczaliśmy nigdy, że pastor pije wino. Czyni to zresztą rzadko, ma jednak zawsze wino dla swych gości.

Za każdym razem, gdy dorzuci się nowego paliwa, ogień syczy i trzeszczy głośniej, płomienie buchają w górę, a czerwone igły świerkowe latają, jak świecące robaczki świętojańskie.

Ktoś z nas wyraża swe zdziwienie, że pastor ma tak mało do opowiadania o owocach swej pracy.

„Mógłby to uczynić lepiej, niż kto inny" — mówi jego siostra.

Lecz on odpowiada: „Ja jestem tu po to, aby wzywać dusze, a nie, aby stwierdzać ich nawrócenie. A zresztą, łączność każdego człowieka z Bogiem jest jego wyłączną własnością. Ma ona również i zewnętrzne objawy, musi je nawet mieć, jak każdy osobisty stosunek. Są tu rzeczy, na które można wskazać. Lecz nie stanowią one

Nauka o Istocie Boskiej w trzech osobach wydawała mu się czczą spekulacją, poniżeniem Ojca, który był jedynym Bogiem, według jego mniemania. Poruszał również zagadnienie roli pośrednika: czy można zwracać się z modlitwą bezpośrednio do Boga? Czy napotykamy w piśmie św. wyraz „Pan", dotyczy w Trójcy św. Jedynego Boga, czy też Chrystusa? Odrzucając wszelką spekulację, proponował nader krótką konfesję: wierzę w Jedynego Boga Ojca, Jedynego Pana Jezusa i Jedynego Ducha Św. W czasie swego pobytu w Pińczowie, wszedł Blandrata w kontakt z Janem Łaskim, wobec którego zobowiązał się nie poruszać żadnych spraw religijnych. Nawiązał również bliższą znajomość z Lizmaninem, superintendentem kościoła pińczowskiego i Stratorjuszem, rektorem tamtejszej szkoły. Miewał Blandrata dłuższe pogawędki z Lizmaninem na temat istoty ostatnich walk regiligijnych w Szwajcarji między Kalwinem a antytrynitarzami. Brandrata wyłuszczał prawdopodobnie, swoje stare wątpliwości, jak to był zwykł czynić, bo nigdy kwestji zdecydowanie nie stawiał. Lizmanin uznał, że poglądy jego nie mają nic z Serweta. Z inicjatywy więc Lizmanina poczynione były próby pogodzenia Blandraty z Kalwinem. Pisał w tej sprawie gorące listy do Kalwina Statorjusz. Swoją wybitną inteligencją, układnością, wiedzą zaimponował Pińczowianom, prowadzeniem się bez zarzutu i sztuką lekarską zdobył sobie Blandrata rozgłos i poważanie wśród Małopolan-protestantów.

Więc było ogólne rozgoryczenie, kiedy Kalwin nie chciał słyszeć o pojednaniu się z Blandratą, więcej! ostrzegał Lizmanina przed tem „monstrum" a w następnych latach 1560 — 1561 ostrzegał przed nim ks. Mikołaja Radziwiłła, Stan. Stadnickiego, Sarnickiego, Crucigera i pastorów wileńskich.

(C. d. nast.).

Z powodu rozpoczynającego się nowego kwartału prosimy usilnie o uregulowanie zaległej i bieżącej prenumeraty w administracji pisma (Kancelarja Kościelna) lub na konto w P. K. O. Nr. 1508.

Echa Jubileuszu ks. dyrektora A. Rondthalera

Jak już w świątecznym numerze wspominaliśmy, dnia 21.XII r. ub. odbyła się uroczystość uczczenia XXV-lecia ordynacji ks. dyr. A. Rondthalera. Podzielono ją właściwie na dwie części: ściśle szkolną i ogólną. Rano po trzeciej lekcji o g. 12-ej zebrali się wszyscy uczniowie gimnazjum im. M. Reja oraz nauczycielstwo w sali konfirmacyjnej. Przybył także p. wizytator E. Warchoł. Gdy wszedł ks. Jubilat, orkiestra szkolna zagrała marsza, poczem w imieniu nauczycielstwa przemówił p. prof. Leon Rygier w następujące słowa:

Wielce Szanowny i Kochany Panie Dyrektorze!

Oto nadszedł dzień, który w życiu Twojem ma być dniem obrachunku i uczczenia Twych zasług, przez długich dwadzieścia pięć lat nizanych cierpliwie na mocną, nie rwącą się nić powszedniej, zbożnej pracy. W dniu tym pozwól i nam, Twoim kolegom i pomocnikom na niwie pracy oświatowej, przemówić z tą prostotą i szczerością, która tak miłem czyni nasze współżycie, i z zespołu nauczycielskiego, prowadzonego twą życzliwą dłonią, dobywa akordy zgody i harmonji.

Prawdę powiedział Mickiewicz: „Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi, gdzie czuje, że głos własny w harmonji gubi". Któż z nas, nauczycieli i wychowawców, pracujących pod Twoim kierunkiem, mógłby zaprzeczyć, że całem Twojem dążeniem, nieraz tak bardzo do osiągnięcia trudnem, jest właśnie wytworzenie z nas, tego zgranego i jednym duchem ożywionego chóru? Któż z nas nie wie, ile to dążenie kosztowało Cię ciężkiego, ofiarnego trudu, i jaką w trudzie tym okazałeś już i okazujesz ciągle wytrwałość?

Ale nie zdałyby się na nic ani moc, ani wytrwałość dążenia — gdyby nie jeden, najcenniejszy dar Boży, który pracę Twoją czyni tak bardzo owocną, a który jest — miłością. Tak, kochany Panie Dyrektorze, Ty dar ten naprawdę posiadasz. Ci, co mają sposobność co dwa tygodnie spotykać się z Tobą na posiedzeniach Rady Wychowawczej, wiedzą dobrze, jak kochasz młodzież, jak bronisz młodzieży przed zbyt surowym czasami sądem naszym. Wiedzą, jak umiesz troskliwie analizować przeja-

istoty rzeczy. O tem, czy nastąpiło zupełne oddanie się człowieka — z głębi serca Boga, wie tylko ten, który patrzy w duszę.

Spogląda chwilę, milcząc, na ogień. Poczem mówi: „Opanowywało mię tu nieraz uczucie wstydu. Jak szczerze i prosto myślą tu ludzie! Naprzykład Guttorm, — wiesz?

„Ten ze swym domem?" — pyta siostra.

„Tak, ten, który swój dom nie mógł dość ozdobić, a do uskutecznienia tego poświęcał każdą wolną chwilę. Ciągle coś koło niego, jak go nazywał — swego dziecka — robił, przybijał, rzeźbił, malował. I nie znał większej przyjemności, jak siedzieć w domu i rozglądać się po izbie. Nieraz też zdarzało się, że właśnie w niedzielę cierpiał na reumatyzm i nie mógł opuszczać mieszkania. Wówczas zapraszał starego Knuda, aby mu pokazać, że znowu coś nowego sobie urządził. Nieraz mówiłem mu: „Strzeż się, Guttormie, abyś za bardzo nie przywiązał się do swego domu, gdyż nie wejdziesz z nim, jak ślimak, na swej muszli, do nieba!" On jednak śmiał się i mówił, że to próżne obawy.

Niedługo potem udał się w góry z żoną. Byli tam dwa, czy trzy dni. Gdy zaś zamykając dom, obracał w zamku tym największym kluczem modlił się: „Panie, Boże mój, strzeż domu mego w czasie mej nieobecności".

A gdy powrócił, w dom uderzył piorun i spalił go doszczętnie.

Przez chwilę przyglądał się, milcząc, czarnemu, dymiącemu pogorzelisku. Żona biadała i płakała, on zaś złożył ręce i znowu modlił się: „Panie mój, dzięki Ci. Teraz widzę, żeś Ty mnie samego właśnie ochronił".

Czybyśmy umieli tak mówić, jak on? I to w tej samej chwili, gdyśmy stracili to, do czego najbardziej było przywiązane nasze serce?"

— Nigdyby on nie był takim i nigdyby tego nie powiedział, gdybyś z nim tak dużo i często nie rozmawiał" — mówi jego siostra.

Lecz pastor nie słucha tego. Milcząc, zatopiony w myślach, patrzy skupiony w płomienie. Potem odzywa się z lekkiem wahaniem:

„Nieraz myślałem, czy znajdzie się tu w górach człowiek, który swą łączność z Bogiem urzeczywistnił, który tęsknił za tem, aby ją urzeczywistnić, gdyż wiedział, jak niedostateczna była ta łączność dotychczas w rzeczywistości. Ale w każdym razie, nie jest to moja zasługa."

Mówiąc to, dorzuca wiązkę gałęzi do ognia. Płomienie trzaskają, buchają w górę jasnym snopem. Między drewkami leży kilka szyszek, które palą się spokojnym, niebieskim płomieniem.

Ktoś z obecnych prosi pastora o bajkę, gdyż przy kominku, wieczorem, najlepiej pasuje. „Najlepiej o duchach" — dodaje śmiało ktoś inny.

Siostra jego kiwa przecząco głową: „Tego nie potrafi mój brat. Ma on co innego do myślenia."

Ale pastor odpowiada: „Czemuż nie? Może potrafię opowiedzieć o czemś, co się tu w górach komuś przydarzyło. Jeśli przytem nie wymienię nazwiska..."

wy jej życia, jak ostrożnie dotykasz tajemnic tych serc i umysłów, które są powierzone pieczy Twojej i naszej.

Z drugiej znów strony niepodobna nie podkreślić tej delikatności, tej obawy o urażenie cudzego przekonania, z jaką starasz się urabiać z nas — ludzi starszych i o zupełnie wyrobionych indywidualnościach — tę całość zgraną i coraz silniej ze sobą zespoloną. Gdyby mi wolno było w chwili tak uroczystej, jak obecna, potrącić strunę humoru, to, mówiąc o Tobie, powtórzyłbym za Mickiewiczem:

„Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury, kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury".

Proszę, niech mi Pan daruje, Panie Dyrektorze, tę żatrobliwość tonu: ale istotnie — żądła, rogów i pazurów nie dostrzegliśmy w Panu nigdy, zato dostrzegliśmy przyjaźń szczerą — i dobroć mądrą, a więc cierpliwą.

Czegóż przeto mamy życzyć Ci, Panie Dyrektorze, w dniu Twego jubileuszu?

Przedewszystkiem niewygasania w Twem sercu tego ciepła miłości, która zgoła nie jest Twoją słabością, ale właśnie siłą. Następnie — odzewu serc — zarówno naszych, jak i młodzieży szkolnej — na to Twoje stałe i silne pragnienie organizowania pracy zbiorowej dla dobra tak bardzo przez Ciebie ukochanej Ojczyzny. I wreszcie ziszczenia się i w Twojem życiu maksymy Mickiewicza, który rzekł:

Gdybyś szedł nocą ciemną i oczy zamrużył,
Znajdziesz skarb, któryś rano, czuwając, wysłużył."

Po nim zabrał głos pan wizytator E. Warchoł i podkreślając zasługi Jubilata na polu pedagogicznem, w serdecznych i ciepłych słowach w imieniu Kuratorjum Szkolnego i własnem złożył mu życzenia dalszej, jak i dotąd, wytężonej, owocnej pracy. Następnie składali życzenia uczniowie. Delegacje każdej klasy, od najniższej — wstępnej, do ósmej, podchodzili i składając życzenia, wręczali swemu Dyrektorowi wiązankę żywego kwiecia. Stawili się też harcerze i hufiec szkolny. Pod koniec Jubilat w serdecznych słowach podziękował wszystkim za życzenia, a orkiestra odegrała marsza.

Po południu o g. 5-ej odbyła się podobna uroczystość, ale już o charakterze ogólnym. Zebrali się przedstawiciele władz kościelnych, koledzy, towarzysze pracy, przyjaciele i młodzież szkolna. Wchodzącego na salę ks. dyr. Rondthalera powitała orkiestra szkolna marszem.

Pierwszy zabrał głos Prezes Konsystorza, pan Jakub Glass i odczytał reskrypt Konsystorza zaadresowany do Jubilata. Następnie N. P. W. ks. Sup. Gen. J. Bursche w imieniu kolegów przywitał Jubilata, złożył mu życzenia i wręczył złoty pierścień wysadzany brylantami z liczbą „25". W imieniu Kolegjum Kościelnego Warszawskiego — przemawiał p. prezes J. Evert; Kolegjum Kościelne postanowiło wyasygnować z tego powodu do dyspozycji ks. Rondthalera 3.000 zł. W imieniu Wydziału Szkolnego — przemówił jego przewodniczący p. mec. H. Eberhardt, w imieniu Zespołu Redakcyjnego „Głosu Ewangelickiego" — ks. radca Loth wręczył posrebrzany numer „Głosu" w odpowiedniej tece; oraz w imieniu Zboru Szkolnego — jego Zarząd in corpore. Przewodniczący tego Zarządu uczeń kl. VII, Otto Oppman, w otoczeniu reszty członków po serdecznych z głębi młodocianej duszy płynących prostych słowach, wręczył założycielowi i organizatorowi tego Zboru Szkolnego ks. Jubilatowi pięknie wykonany adres z podpisami zgórą 160 członków. Nastąpiła przerwa, podczas której chór szkolny pod kierunkiem p. prof. Czubińskiego wykonał odpowiednie pieśni, poczem wstąpił na mównicę wicedyrektor gimnazjum, p. prof. K. Kosiński. Mowę jego przytaczamy poniżej:

„Swojego czasu, w r. 1892 pisał był Witkiewicz do rodziny: „...ja jak wiecie, nadzwyczaj mało potrzebuję brać zzewnątrz, żeby mieć materjał do życia i czucia. Zakopane może się komu wydawać światkiem ciasnym i głuchym, ale tak nie jest: człowiek ma w sobie lampkę, która oświeca tyle świata, ile dla niego potrzeba i bez tej lampki wszędzie mu ciemno. Ja tę lampkę mam i dość jeszcze świata widzę..."

Tę samą myśl wyraził Mickiewicz w słowach:

„Jedna tylko iskra jest w człowieku,
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku",

a potem pali się w duszy człowieka, wzbierając na potędze i sile, lub czasem słabnąc, kiedy tę iskrę w duszy przygasi życie ze swoją tępą rezygnacją, z wyjałowieniem myśli i czucia poprzez niewolniczą pracę. Natenczas owa iskra pali się jeszcze w duszy, ale jak lampa na grobie porywów i pragnień.

A jednak są ludzie, których prawda wewnętrzna, **raz zdobyta**, oświeca zawsze i wszędzie, są ludzie, którzy **raz się stają** przez umiłowaną ideę i jej tylko świadczą nieustannie do śmierci.

Spogląda chwilę w płomienie; potem zaczyna: „Pewien młody chłopiec szedł wzdłuż bagna, gdy było ono osypane białawym kwieciem górskich malin. Idąc, nagle zauważył na bagnie jakąś postać. Zdawało mu się, że to jest Ingrid Koppen. Zrywała kwiaty.

Zapytał ją, dlaczego zrywa kwiaty; czyż nie wie o tem, że wówczas będzie mniej owoców? Czyż o tem nie pomyślała?

Wówczas ona zbliżyła się do niego i podała mu kwiat przez wąski, dzielący ją od ścieżki strumyk.

Przyjął je z uśmiechem.

Następnego wieczoru złożyło się tak, że znowu szedł ścieżką wzdłuż bagna. I znowu zobaczył na bagnie dziewczę, zbierające białe kwiaty malin. Stąpała tak lekko, że stopy jej się nie zapadały. O ile mógł dojrzeć, była to Marta Sandwigen.

On zawołał ją, a ona podeszła bliżej i podała mu kwiaty.

Jednocześnie jednak chwycił ją za rękę.

Stała spokojnie. Była przytem tak blisko, że mógł się nachylić poprzez strumyk i ją pocałować.

Stała i przyglądała mu się, wówczas pocałował ją jeszcze raz.

Dzień następny była niedziela.

Prowadził on swą ślepą matkę do kościoła. Nie uważał jednak na nią, tak, że potykała się o kamienie, leżące na drodze. Nie słuchał też Słowa Bożego, widział jeno morze falującego pod tchnieniem wiatru kwiecia malinowego, a w niem dziewczę...

Gdy wyszedł wieczorem, była tam znowu. Ona, imienia jej jednak nie mógł sobie przypomnieć. Była ona, jak każda inna, a jednak do żadnej nie podobna. Stała tuż przy ścieżce i podała mu rękę poprzez strumyk.

Przeskoczył przez strumyk, objął ją i pocałował. Ona zaś przyglądała mu się jeno, on zaś mocno ją trzymał.

Wówczas zaczęła go ciągnąć do bagna.

Czy mieszkasz po tamtej stronie? — pytał i wskazał ręką. Ona kiwnęła tylko głową.

Wówczas zaczęła się chwiać pod nim ziemia. Obejrzał się i spostrzegł, że tkwi na tem właśnie bezdennem miejscu, gdzie w zeszłym roku utonęła krowa; wówczas zawołał: „Musimy wracać! Chodź, chodź!"

Ona jednak potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie mogę!" i skuła oczy swe z jego wzrokiem.

Zapadł się aż po kolana. Zdawało mu się, że to jej oczy go ciągną, oczy, w które się zatopił.

„W Imię Boże!" — krzyknął.

Nie wiedział potem, jak się stamtąd wydostał: dość, gdy stanął znowu na drodze i spojrzał na trzęsawisko, nie było tam nikogo wśród białych kwiatów.

Wszyscy mówili, że to była nimfa leśna, która chciała go zwabić, i dobrze się stało, że się od niej uwolnił.

On jednak nie zaznał spokoju. Przypominał sobie dobrze, że go o mało nie wciągnęła do bagna. A jednak zdawało się mu, że była takim samym, jak on — człowiekiem...

Czcigodny Panie Dyrektorze, nie będą to frazesy, jeżeli powiem, że właśnie Ty możesz być przykładem człowieka, który nie błąka się, jak Manfred po górach niezniszczalnych idej, który nie zamyka się w kątach swojego domu, nie ucieka od życia do rezygnacji, bo w nim ta wewnętrzna iskra nie wyziębła na drogach życia. Twoja lampa ducha pali się wezbranym płomieniem, a podsyca ją idea. Tą ideą jest miłość — miłość młodzieży i życia. Brałeś tę swoją prawdę

Nie z ksiąg, ani z opowiadań,
Ani z rozwiązania zadań,
Ani z czarodziejskich badań,

ale z samej głębiny serca, które zostało w tobie dotychczas młode. I myliłby się ten, ktoby twierdził, że

Tu znowu przychodzi mi na myśl Witkiewicz, który we wstępie do „Na przełęczy" p.t. „Po latach" domagał się aż do krzyku i buntu hodowli człowieka na użyźnionym dobrze gruncie życia i pisał: „Ile razy widzę ogrodnika, pochylonego nad grzędami, obsypującego jedną roślinę, podlewającego drugą, podcinającego coś trzeciej, wynoszącego inną na słońce lub chowającego jeszcze inną w cieniu... tyle razy z przykrością myślę o tem, co się robi z istotą ludzką, jak się ją hoduje, jak przysposabia do zdobycia warunków istnienia i do spełnienia wyższych zadań bytu". I oto właśnie ta sama troska o hodowlę człowieka, o indywidualny jego rozwój jest Twoją troską. Nie potrzebuję zaś powtarzać, że źródłem jej jest miłość, poprostu miłość życia. Dlatego wiem, jak nie znosisz, gdy kto przy



przekonania twoje, aby nad każdym z uczniów osobno, inaczej, bezpośrednio czuwać, nachylać się, pielęgnować go, jak kwiat w ogrodzie, płyną z traktatów naukowych, takiej czy innej metody psychologicznej, gdy to jest potrzebą duszy twojej i serca, abyś jak dobry ogrodnik krzątał się po zagonach życia, wnikając w istotę dusz, krzewiąc ich bujność i piękno aż rozpłomienią się w sobie, jak gwiazdy na firmamencie, na pochwałę stworzenia.

tobie sarka na młodzież, nie znosisz pesymizmu, który świadczy o oschłości serca, będąc cichym oraczem na niwie życia, będąc tym prostym mickiewiczowskim człowiekiem z Ksiąg Pielgrzymstwa, jednym z tych, „na których ojczyzna pokładała i pokłada największe nadzieje". Obok tych „prostych i czujących" postawił Mickiewicz jeszcze żołnierza, który ginie dla ojczyzny i młodzież, która dla niej uczy się żyć.

Tak więc miłość i praca: miłość aż do rozmodlenia duszy, a praca aż do utraty zdrowia — to jesteś Ty, Panie Dyrektorze.

I dlatego też w imieniu całego grona nauczycielskiego Gimnazjum im. M. Reja mogę Ci ofiarować tylko ten owoc Twojej pracy, naszą Księgę pamiątkową, ale przybraną w szatę dzieła sztuki, aby do twego mozołu, do owych „czułych nocy" niespanych dorzucić widzianego piękna, które niech Ci się wyda kwiatem dusz. Przyjm od nas ten skromny dar tak prosto i szczerze, jak my go prosto i szczerze dajemy".

Po tej przemowie p. prof. Kosiński w imieniu całego grona nauczycielskiego gimnazjum im. M. Reja wręczył Jubilatowi „Księgę Pamiątkową" w pięknej — z pergaminu i z ornamentacjami artystycznemi — oprawie, której dublikat i plansze zostały darowane i umieszczone w Muzeum Narodowem, jak o tem świadczy na ostatniej stronicy tej księgi napis dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki p. Gembarzewskiego. W imieniu Opieki Rodzicielskiej przy gimnazjum składał życzenia jej przewodniczący p. prokurator Rudnicki. Opieka Rodz. z powodu tej uroczystości darowała dla gimnazjum wspaniały mikroskop, wartości około 1500 zł.

Składali jeszcze powinszowania obecni i byli wychowańcy gim. Reja i przedstawiciele Korporacji studenckiej „Juventia".

Ze swej strony — cieszymy się, że cicha praca ks. dyr. Rondthalera, znalazła należytą ocenę u naszego ogółu społeczeństwa i życzymy Jemu jeszcze długich lat pracy w zdrowiu i w wewnętrznem z niej zadowoleniu.

Ad multos annos! **X. F. G.**

I nie mógł pozbyć się myśli: czy też ona tam utonęła? Było mu, jakby czuł na sobie, że ona tam tonie, tonie... I coś go ciągnęło do trzęsawiska na tamto miejsce. Stał tam i wołał ją wszystkiemi imionami, które tylko znał.

Myślał bowiem: Raz wreszcie znajdę właściwe, a wówczas przyjdzie. Przyciągnę ją do siebie — na twardą ścieżkę.

Zapewne i dziś jeszcze stoi tam i woła..."

* * *

Zegar ścienny wydzwania godzinę dziesiątą. Pastor wstaje nagle i przypomina nam, że już czas iść spać, gdyż jutro musimy wstać bardzo wcześnie.

Poczem siada do fisharmonji i intonuje pieśń wieczorną.

* * *

Żegnamy się z pastorem przy otwartym kominku, w którym ogień już tylko tli się i gaśnie powoli, rzucając wokoło słabnący blask.

Pastor mówi, że będzie za nas czuwać, dopóki ostatnia iskra nie zgaśnie. Opuszczamy go. On zaś pozostaje i czuwa, jak te czerwone oczy rozżarzonych węgli zamykają się jedno po drugiem, gasnąc powoli.

Czy myśli on o duszach tu, w górach, o rozrzuconych iskrach, które chciałby rozdmuchać i połączyć w płonący ogień? Czy też myśli jego wracają do tego, co było — przed trzynastu laty? (C. d. nast.).

Listy do Redakcji

SIMPLEX NIEPOCIESZONY.

Odwiedził mnie brat mój Simplex, autor listu opublikowanego w Nr. 42 „Głosu" z dn. 16 października r. b. był niepocieszony. Skarżył się nie o to, że go odsądzają od czci i wiary, i nie o to, że dobierają się do prochów jego domniemanych przodków duchowych.

— Nie szukałem przyprawnego wina, gdy się rumieni, i gdy wydaje w kubku łunę swoją. Nie patrzyły oczy moje na cudze żony. Serce me nie mówiło przewrotności. Nie byłem, jako ten, który leży wpośród morza, a jako ten, który śpi na wierzchu masztu. Czemu tedy rzec muszę: Ubito mię, a nie stękałem, potłuczono mię, a nie czułem? (Prov. 23, 31—35).

Tak się skarżył brat mój, Simplex, zlekka trawestując słowa biblijne. Ale nie stękał. Nie czuł razów na ciele, jakie mu wymierzono. Twierdził, że cięgi chybiły. Mówił, że taka chłosta spada na tego, kto ją wymierzył.

— Dlaczego? — pytam go, a on na to:

— Włożyli mi w usta słowa drastyczne, skomponowane przez nich samych, których ja nie wypowiedziałem, a potem obalali je w sposób jeszcze drastyczniejszy. Zarzucili mi bojaźń przed tymi, których drażni samo nasze istnienie. Brutalnie sponiewierali święte dla mnie pojęcie „szlachetnej neutralności". Wzgląd na współwyznawców, będących odmiennej orjentacji politycznej, przenicowali na słabość. Polemizują z programem oportunistycznym dla ewangelików, rzekomo moim, którego ja w istocie rzeczy nie wystawiałem. Ale milczą o tem, o co mi chodziło: aby od zbrukania przez machinacje agitatorskie zachować cały nasz aparat kościelny. Dlatego — ciągnął dalej Simplex— chłosta z ich rąk nie trafia we mnie, oni zaś są jako ci, którzy się sami biczują.

— Lecz oczywiście jestem niepocieszony, — dodał,— gdyż z mego powodu już przed rozpoczęciem kampanji wyborczej zapanował ton, przed którym pragnąłem uchować Zbór w czasie wyborów.

Tak mówił brat mój, Simplex. I odszedł niepocieszony.

Antibarbarus.

OFIARY.

Fabryka trykotaży **W. Mentzel** przesłała na Gwiazdkę dla biednych naszego zboru następujące rzeczy: **3 koszule męskie, 1 kaftan, 1 ubranko, 4 koszulki dziec. 10 żakiecików dziecinnych.**

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY.

Sekcja towarzyska Koła Studentów - Ewangelików „Filadelfja" urządza dn. 7 lutego r. b. w Salonach Kasyna Garnizonowego, Al. Szucha 23.

WIECZÓR STUDENTA - EWANGELIKA.

Wieczór rozpocznie się koncertem punktualnie o godzinie 20 m. 30.

Bilety w cenie 8 zł. (normalne) i 4 zł. (studenckie) do nabycia u P. P. Gospodyń i Gospodarzy Honorowych, których lista wkrótce zostanie ogłoszona.

Narazie wszelkich informacji udziela kol. S. Prentka, ul. Hortensja 3 m. 2, tel. 220-12.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE URZĘDU PARAFJALNEGO

za cazs od 12 do 26 grudnia r. b.

Ochrzczono: 11 dziewczynek i 7 chopców.

Ślub zawarli: Kazimierz Kwieciński z Olgą Krugler; Leon Jerzy Jajte z Aurelją Teofilą Sułkowską; Mieczysław Więckowski z Jadwigą Teresą Bryszkiewicz; Ryszard Gustaw Frencel z Apolonją Aleksandrą Czyszkiewicz; Gustaw Robert Tscheschel z Rozalją Kail; Teofil Wilhelm Kubsz z Olgą Wolną; Jakób Jerzy Morris z Ireną Smoleńską.

Zmarli: Adela Wilhelmina Mey z d. Szczupaczkiewicz, l. 74; Zofja Hahn z d. Muller; wdowa l. 67; Jan Schief, pończosznik l. 56; Marjanna Czerwińska, wyrobnica, l. 70; Oswald Micke, ślusarz l. 67; Olga Kubsz z d. Wolna, żona stolarza, l. 23; Zuzanna Ziegler z d. Born, wdowa, l. 84.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW.

1 stycznia **Nowy Rok.**

o godz. 9½ rano, nabożeństwo w języku niemieckim, ks. pastor Loth.

o godz. 11½ rano, nabożeństwo w języku polskim, ks. pastor Michelis.

W KOŚCIELE GARNIZONOWYM.

Dn. 1 stycznia 1928 r. o godz. 10 nabożeństwo noworoczne w jęz. polskim.

Dn. 6 stycznia 1928 r. o godz. 10 nabożeństwo misyjne w jęz. polskim.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote; miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji — Kancelarja Zboru codziennie od 9 — 2 i 3 — 5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 4 m. 3, tel. 310-15.

Redaktor: Ks. AUGUST LOTH. Wydawca: Ewang. Sp. Wyd. „Logos".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.